



Simonowi

Rzeź. Jak niekończący się mecz w budę, którego nikt w porę nie przerwał. Walka aż do śmierci wszystkich uczestników. Gigantyczna kotłowanina i straszne krzyki, które niemal zagłuszały świst kul. Potem nagle przeszył mnie ból. Zgiąłem się od uderzenia. Ktoś gwałtownie wepchnął mnie do jakiejś dziury. Tunel był wąski, co spowolniło upadek, ale na tyle duży, że doleciałem aż na dno. Odruchowo osłoniłem głowę rękoma, a moje ciało ciężko gruchnęło o ziemię. Resztką sił wślizgnąłem się do ciasnej niszy. Starąłem się nie słyszeć krzyków cierpienia moich towarzyszy czy może wrzasków ich ofiar. Mimowolnie jęknąłem z bólu. Płacząc, zacząłem odwiązywać część pancerza do budy. Kiedy zobaczyłem

dziurę ziejącą pod moją klatką piersiową, wszystko stało się czarne.

Ktoś musiał mnie przenieść, bo nie jestem w miejscu, które zdążyłem już uznać za swój grób. Znalazłem się teraz w jakiejś większej grocie. Ściany pokrywa nieznane mi pismo. Na podłodze, kilka metrów ode mnie, płonie świeczka. Mój brzuch buzuje życiem. Jakby armie owadów toczyły tam bitwę. Ich ostre pancerzyki przy każdym ruchu kaleczą moje porozrywane ciało. Być może umrę. Chcę tego. Za bardzo cierpię.

Nie jestem sam. Ktoś się porusza w półmroku. Jest tak przygarbiony, że wlecze ręce po ziemi. Ma na sobie luźną tunikę, która powiewa wokół niego jak flaga. Jego długie włosy chyba latami unikały nożyczek.

– Obudziłem się! Halo! Proszę, dajcie mi pić! – krzyczę.

Znów cisza. Jestem pewien, że nieznajomy gdzieś tam jest i mnie obserwuje. Wołam jeszcze przez wiele minut. Na próżno. Zaczynam wątpić, czy rzeczywiście go widziałem. Oczy mnie szczypią, czuję, jakbym się zapadał.

Ktoś znów mnie przeniósł, bo teraz dociera do mnie ciąg świeżego powietrza. Wokół krąży wiele osób, ale trzymają się na dystans. Słyszę szepty i chcę otworzyć oczy. Nie mogę! Moje powieki są jakby sklezione i, chyba dla większej pewności, zawiązano mi oczy. Ktoś przygiął mi

prawe ucho przy naciąganiu materiału. Boję się. Próbuje podnieść głowę, ale okazuje się, że jestem przywiązany na wysokości szyi. Jeśli nie przestanę, uduszę się. Mam też skrepowaną klatkę piersiową, kostki i nadgarstki. Ból w boku mnie męczy, ale jest już mniej dotkliwy.

Odtwarzam w myślach sceny ataku i widzę przerażone twarze moich braci. Dlaczego ich ze mną nie ma? Czy straciłem ich na zawsze? Może jako jedyny ocalałem z masakry i będę czuł się winny, że nie towarzyszyłem im do samego końca, do śmierci?

Już nie mogę.

– Niech ktoś się do mnie odezwie! – krzyczę. – Chcę widzieć!

Słyszę odgłos zbliżających się kroków. Towarzyszy mu intensywny fetor osobników, którzy zapomnieli o myciu. Jeden z nich pochyla się nade mną. Czuję jego oddech.

– Zdaje się, że mały Meto wyszedł z tego. Trzeba uprzędzić Pierwszy Krąg.

– I zapytać, czy wolno mu patrzeć – dodaje drugi.

Nie rozpoznaję ich głosów. Ryzykuję pytanie:

– Kim jesteście? Gdzie moi przyjaciele?

– Spokojnie, spokojnie, Meto. Musisz jeszcze poczekać. Nie upoważniono nas do rozmów z tobą. Zapewne później. Teraz bądź cicho i nie zwracaj na siebie uwagi.

Znowu odeszli. Dlaczego trzymają mnie w niepewności? Pewnie mi nie ufają. Kiedy uciekaliśmy z Domu,

byłem przekonany, że Przecięte Uszy przyjmą nas z otwartymi ramionami. Podjęliśmy tak wielkie ryzyko, żeby do nich dołączyć... Wymienili moje imię. Jestem pewien, że to ich kryjówka. Na pewno są wśród nich znajome twarze. Duzi, którzy kiedyś patrzyli na mnie z życzliwością. Kto nimi dowodzi? Czy go znam? Czego nie wolno mi tu oglądać?

Przez kolejne godziny wciąż czuję wokół siebie czując obecność. Nie mogę zrozumieć, co mówią, bo wszyscy szepczą. Ktoś mocno naciska na opatrunek na moim brzuchu. Pewnie chce usłyszeć, jak cierpię. Zaciskam zęby. Nie dam mu tej satysfakcji.

Odgłosy powoli się oddalają. Najwyraźniej chłopaki gromadzą się dużo dalej. Słyszę zgiełk nasilający się w nieregularnych odstępach. Dociera do mnie chrapliwe sapanie. Jak gdyby dwa drapieżniki próbowały się nawzajem przestraszyć. Co się tam dzieje? Być może organizują jakieś walki zwierząt...

Ogarnia mnie gwałtowne zmęczenie.

Ktoś mnie obudził, wsuwając mi do prawej ręki małą, letnią manierkę. Rozciął też więzy na moim nadgarstku, więc mogę odkręcić korek i podnieść szyjkę do ust. Zupa na rybach i gotowanych, dość grubo pokrojonych warzywach. Nie jestem zbyt głodny. Leżąca pozycja zmusza mnie do powolnego siorbania i dokładnego gryzienia

przed połknięciem. Muszę też głęboko odetchnąć przed wzięciem kolejnego łyku. Przypominam sobie zasady Domu, gdzie posiłki były uregulowane co do sekundy. Smak jest dość mdły, ale dotyk spływającej powoli przez przetyk cieczy sprawia mi przyjemność. Wyczekuję niecierpliwie na powrót mojego żywiciela.

Czekam dłużej. A jeśli on z kolei oczekuje na moment, gdy znów zapadnę w sen?

Odgłos stopniowo się zbliża. Nagle czuję jakiś dotyk, ktoś wkłada mi do prawej ręki ciepłą manierkę i zabiera poprzednie naczynie.

– Dziękuję – zaczynam nieśmiało. – Poczekaj! Proszę cię! Nazywam się Meto. A ty?

To nie ma sensu, bo on oddalił się już biegiem, nie zamieniwszy ze mną ani słowa. Bardzo chciałbym zapytać o wyjaśnienia tych, którzy w ciągu dnia przechodzą w pobliżu. Ale coś mi podpowiada, że powinienem posłuchać rady, której mi udzielono. Nie mogę zwracać na siebie uwagi, jeśli chcę, by dobrze mnie traktowano i pozwolono mi dołączyć do moich przyjaciół, o ile ci jeszcze żyją.

Nie śpię już tak dużo. Mój umysł koncentruje się na bólu, który powraca bez ostrzeżenia. Kiedy staje się zbyt mocny, skupiam się na oddechu i czekam, aż minie. Staram się myśleć o czymś innym. O braciach, których mi

brakuje. Próbuję ich sobie po kolei wyobrazić, żeby zachować w pamięci ich twarze. Marek, który jest mi najbliższy. Nigdy mu tego nie powiedziałem, ale poprzysiągłem mu lojalność aż do śmierci. Wycierpiał się przeze mnie, chociaż zawsze robiłem wszystko, żeby go chronić. Nieraz myślał, że przepadłem, a nawet że nie żyję. Jest z tych lękliwych. Czułem, jak się oddala w tygodniach poprzedzających bunt, tuż przed jego pobytem w lodówce. Dopiero tam dotarło do niego, że strach przed niebezpieczeństwem bywa czasem bardziej bolesny niż samo niebezpieczeństwo i że prawie wszystko można przetrzymać. Klaudiusz, nasz przywódca. Pierwszy, który zrozumiał, że zmiana jest możliwa, mój pierwszy towarzysz walki. Tylko raz widziałem, jak stracił spokój, który zawsze maluje się na jego twarzy. Było to na kilka godzin przed naszą ucieczką, kiedy dowiedział się, że Numeriusz został zabity, a ci z Domu używają jego ciała, żeby nas nakłonić do poddania się. Oktawiusz, nasz spokojny i roztargniony towarzysz. Skupiony bardziej na innych niż na samym sobie. Dzieciak, który przypłacił okaleczeniem jeden pobyt w lodówce za dużo, bo jego myśli często oddalały go od tego, co najważniejsze, czyli od przetrwania. Wreszcie Tytus, którego kontrolowana przemoc dodawała nam odwagi, a jednocześnie przerażała nas. Mówił o zabijaniu przeciwników z takim opanowaniem, jakby zadawanie śmierci było dla niego czymś normalnym, niemal zwyczajnym.

„Zdaje mi się, że przedtem nieraz to robiłem” – zwierzył mi się kiedyś.

Raz za razem zapadam w sen, może nie długi, ale mocny. Nie zauważyłem, jak i kiedy włożono mi do ręki nową manierkę. To samo jedzenie, co wczoraj. Jem bardzo powoli. Nic innego nie mam do roboty. Gdzie się podziali moi bracia? Co bez nich zrobię?

Próbuję odtworzyć w głowie ostatnie chwile, które spędziliśmy razem, zanim zniknąłem w ciemnej dziurze.

Muszę się cofnąć do początku, do chwili, w której drzwi zatrzasnęły się za nami, odcinając możliwość odwrotu. Po kilkunastu metrach wąskiego tunelu natrafiliśmy na pierwsze schodki niekończącego się zejścia, które doprowadziło nas do stóp wulkanu. Metalowe stopnie były wąskie i śliskie. Na ścianach tu i ówdzie skraplała się czarna woda. Wreszcie dostrzegliśmy stalowe drzwi, które dzieliły nas od świata na zewnątrz. Były ciężkie i trochę skrzypiały. Tytus nakazał nam absolutną ciszę i bezruch. Widzieliśmy, jak razem z Tyberiuszem bez wahania zagłębiają się w mrok. Wstrzymaliśmy oddech. Każdy nadstawiał uszu i próbował odgadnąć, co się tam właściwie dzieje. Zbiliśmy się w ciasną grupkę, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Nagle Maksymus, służący, zaczął się trząść i ciężko oddychać. Łamał się. Jego spazmy przeniosły się na całą grupę. Wtedy Klaudiusz położył mi ręce na głowie, a on z trudem się uspokoił. Potem usłyszeliśmy

sygnał: trzy krótkie gwizdnięcia. Nasze ciała tylko na to czekały i wszyscy naraz rzuciliśmy się naprzód. Zaczęliśmy biec jeden za drugim, nie wiedząc, czy z przodu ktoś rzeczywiście nad tym panuje. Nasza grupa rozciągnęła się, bo wielu nie dawało rady utrzymać tempa. Służący po kilkudziesięciu metrach przeszli w marsz. Tytus i Tyberiusz czekali na nas pod jakimiś drzewkami. Tytus dał znak, żebyśmy podeszli bliżej i kucnęli.

– Zneutralizowaliśmy posterunek strażników – powiedział, zanim jeszcze wszyscy zdążyli dołączyć. – Ale czekając na was, już po sygnale, zobaczyliśmy jakiś ruch za krzakami. Musimy być ostrożni. Być może to jakiś patrol, który nawiał, żeby ogłosić alarm.

– Albo Przecięte Uszy, które wyszły nam na spotkanie – zasugerował Marek.

– Też o tym myślałem, ale dlaczego w takim razie uciekli? Bądźmy ostrożni. Wyciągnijmy broń i idźmy dalej, zachowując ciszę.

Kolumna ruszyła powoli. Ledwo przeszliśmy jakieś sto metrów, a już pierwsza kula świsnęła nam koło uszu. Druga utraćła kawałek pancerza z ramienia Tytusa.

– Kryć się, każdy liczy na siebie! – krzyknął Tytus.

Ilu ich było? Pewnie kilkudziesięciu. Niektórzy z moich przyjaciół bali się poruszyć, wyglądali, jakby nie mieli zamiaru się bronić. Nagle przez megafon rozbrzmiał głos:

– Poddajcie się natychmiast, dla własnego dobra!

Trzech naszych towarzyszy wstało i niemal natychmiast zostali zastrzeleni. Nasi przeciwnicy nadali ton. To będzie walka na śmierć i życie. Rozproszyliśmy się, czołgając się albo turlając. Żołnierze włączyli mocne latarki, które mieli przymocowane do hełmów. Od ich światła zrobiło się jasno jak w dzień. Stoczyłem się kilkanaście metrów po stoku, po czym wstałem i pobiegłem dalej ścieżką, a za mną jeszcze dwóch towarzyszy. Dotarliśmy na szczyt klifu. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko zawrócić i stać czoła nieprzyjaciółom. Byliśmy przekonani, że czeka nas pewna śmierć. Wtedy usłyszeliśmy ogromny tumult za linią wroga. To Przecięte Uszy przybyły nam z odsieczą. Pełen nowej odwagi odbezpieczyłem karabin i włączyłem się do walki. Nadeszła chwila, kiedy każdy miał pokazać, na co go stać. Zdążyłem wycelować w głowę żołnierza, który zamierzał się na jednego ze służących. Jednak gdy już miałem strzelić, targnął mną straszliwy wstrząs, a w boku poczułem rozdzierający ból. Zachwiałem się, a wtedy... Teraz sobie przypominam... Wielki brodac z twarzą czarną od sadzy popchnął mnie w kolczaste krzaki. Skrywały one dziurę, w której, na wpół przytomny, zniknąłem.

Ten człowiek uratował mi życie. Wciąż pamiętam spojrzenie jego szarych oczu. Mam nadzieję, że go jeszcze zobaczę.

Ktoś ciągnie mnie za kciuk, jakby chciał go złamać.

– Przestań! Przestań! – krzyczę.